

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 80 zł.
 $\frac{1}{2}$ " — 40 "
 $\frac{1}{4}$ " — 20 "
 $\frac{1}{8}$ " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr

Poroniony pomysł.

Modny dziś w literaturze publicystycznej *regjonalizm* znalazł zastosowanie również w polityce. Klub parlamentarny Bezp. Bloku Współpracy z rządem uchwalił podzielić się na Koła *regjonalne*, a nie wiedząc dokładnie, jak należy pojmować nowy i dość nieokreślony termin *regjon*, utworzył swe koła stosownie do istniejącego podziału administracyjnego państwa t. j. według województw.

Potrzebę i pożytek tego rodzaju kół wojewódzkich uzasadnia w „Kurjerze Wil.” teoretyk ideologii „Jedynki” p. Testis w sposób następujący:

„Podział klubu Jedynki na zrzeszenia regionalne opiera się na zdrowej zasadzie wydobycia z poszczególnych terenów państwa jaknajwięcej sił twórczych, któreby mogły znaleźć ujście za pośrednictwem miejscowych posłów i senatorów w pracy ustawodawczej i we współdziałaniu z ustawą wykonawczą. Koło regionalne ma tedy za zadanie utrzymywać kontakt z wszystkimi ludźmi dobrej woli, którym dobro kraju, zaspokojenie jego potrzeb i wytworzenie warunków najbardziej sprzyjających jego normalnemu rozwojowi szczerze leży na sercu. Kontakt ten umożliwia członkom koła należyte zapoznanie się i ocenienie ogólnej sytuacji kraju i wyciągnięcie z tej oceny właściwych wniosków”.

Ponieważ każdemu logicznie myślącemu człowiekowi po przeczytaniu powyższych słów nasuwa się zarzut, że do tych celów nie jest wcale potrzebne tworzenie organizacji kolegialnej, że każdy poseł w pojedynkę może, a nawet powinien utrzymywać kontakt ze swymi wyborcami, p. Testis śpieszy go odparować, utrzymując, że dotąd tego nie robiono, ponieważ zależność posłów od centrali partyjnej czyniła z posła agitatora i emisariusza politycznego,

niezdolnego do pozytywnego ujęcia całokształtu zagadnień miejscowych.

Na to możnaby zauważyć, że przecież i koła regionalne „Jedynki” są zależne od centrali, czyli od pułk. Sławka i muszą na terenie sejmowym podporządkowywać swe zamierzenia i posunięcia ogólnej taktyce klubu, ale w danym wypadku interesuje nas pytanie, czy podział na koła wojewódzkie ma jakiegokolwiek racjonalne uzasadnienie.

Jakie specjalne, odrębne interesy mogą dzielić np. województwa Lubelskie i Kieleckie albo Warszawskie i Łódzkie? Przecież o wiele więcej mają ze sobą wspólnego reprezentanci wielkiego przemysłu lub drobnej własności ziemskiej ze wszystkich tych województw, niż łódzki fabrykant z rolnikiem z pod Sieradza czy też hurtownik warszawski z chłopem łowickim. O czym mogą mówić ze sobą na posiedzeniach kół regionalnych „Jedynki” posłowie, należący do rozmaitych sfer społecznych, pochodzący z różnych zakątków województwa, reprezentujący sprzeczne nieraz interesy ekonomiczne? Czyba o drogach i mostach, która to sprawa mniej więcej jednakowo obchodzi ludność danego terytorjum, ale od tego są przecież samorzady i rady wojewódzkie!

Na to pytanie darmobyśmy szukali odpowiedzi w artykule p. Testisa, zachwalającym pomysł podziału klubu Jedynki na koła regionalne. Bezstronność każe wyznać, że i p. Testis nie jest zupełnie zadowolony z podziału na koła według województw. Píše on: „Oczywiście województwa w małej tylko mierze odpowiadają istotnemu pojęciu „regjonu”, jako pewnego terytorjum, posiadającego wyróżniające go z całości, własne, w historycznym rozwoju nabyte właściwości”. Postawmy kropkę nad *i* i powiedzmy, że nie odpowiadają całkiem. Podział administracyjny państwa został dokonany nie tylko z zapoznaniem różnic pomiędzy poszczególnymi terytorjami, naturalnych lub wytworzonych w ciągu wieków, lecz z wy-

rażną tendencją zatarcia ich i zapobieżenia w ten sposób wszelkim dążnościom odśrodkowym. Typowym przykładem takiego dziwaczного tworu jest województwo Białostockie, na które się złożyły dawna gub. Łomżyńska i południowa część gub. Suwalskiej, należące do b. Kongresówki z ludnością niemal wyłącznie mazurską oraz znaczna część gub. Grodzieńskiej z ludnością przeważnie białoruską, a po części litewską.

Jeżeli pojęcie *regjonu* ma odpowiadać pewnemu terytorjum o odrębnych właściwościach historycznych, to jakież sens miał podział Kongresówki na koła regionalne? Rozumiemy ideę koła regionalnego wschodnio-galicyskiego, koła regionalnego wołyńskiego, koła regionalnego litewsko-białoruskiego, być może poznańsko-pomorskiego. Tego rodzaju *krajowe* organizacje poselsko-senatorskie mogłyby mieć istotnie rację bytu, bo reprezentowałyby nie urojone i fikcyjne, lecz rzeczywiste odrębne interesy danego kraju, któreby mogły łączyć i obszarownika i chłopa i przemysłowca i robotnika. Ale niedość byłoby utworzyć takie koła dla wewnętrznego porozumiewania się i utrzymywania kontaktu z ludnością miejscową, powinny one znaleźć swój wyraz manifestacyjny również na terenie sejmowym i co więcej skupić nie tylko posłów z Jedyńki, lecz i wszystkich pozostałych z danego terytorjum, którym nie stanie do tego na przeszkodzie ich ciasne stanowisko nacjonalistyczne lub klasowe.

W pierwszym rządzie dotyczy to naszego kraju, który jak to słusznie zaznacza p. Testis, obejmuje w granicach państwa polskiego województwa Wileńskie i Nowogródzkie, północne powiaty woj. Poleskiego i wschodnie Białostockiego. Wszyscy posłowie, nie tylko z Jedyńki, lecz i z innych ugrupowań, wybrani na tym obszarze i uznający jego odrębność i potrzebę łączności na gruncie tej odrębności mogliby i powinni utworzyć w Sejmie wspólną reprezentację ziem litewsko-białoruskich, któraby odegrała wtedy doniosłą rolę polityczną i posunęła naprzód sprawę autonomji naszego kraju, tak bliską przecież sercu p. Testis'a i całej grupie „Kurjera Wileńskiego” — jeśli wierzyć jego zapewnieniom przedwyborczym.

Nie jest to pomysł nowy ani oryginalny. W pierwszej Dumie rosyjskiej powstał projekt założenia koła autonomicznego posłów z Litwy i Rusi bez różnicy narodowości wyłącznie na podstawie terytorjalnej. Nie doszło do jego uskutecznienia, ponieważ kwestja agrarna, która wówczas roznamiętniała wszystkie umysły, uniemożliwiła wszelkie próby porozumienia pomiędzy posłami Polakami, prawie bez wyjątku ziemianami—konserwatystami a posłami innych narodowości, opowiadających się gorąco za przymusowym wyłączeniem. Sama myśl jednak utworzenia wspólnego klubu terytorjalnego, spotkała się z powszechnym uznaniem, którego nie podzielali jedynie posłowie Rosjanie.

W obecnych warunkach na stanowisku owych Rosjan—unifikatorów stanęliby oczywiście nacjonaliści Polacy, część posłów, wyznających hasła bezwzględnej walki klas również wypadłoby z góry wyeliminować, ale reszta byłaby jeszcze dość pokaźna, by takie koło krajowe utworzyć i ideę autonomiczną godnie reprezentować.

Takby być powinno. Rzeczywistość jednakże mówi co innego. Co tu marzyć o szerokim przedstawicielstwie krajowym, gdy nawet projekt połączenia obu kół wojewódzkich Wileńskiego i Nowogródzkiego w jedno koło regionalne, co już stanowiłoby pewien krok naprzód,—natrafił na kateryczny sprzeciw ze strony nowogródzcjan. Jest to objaw zupełnie zrozumiały. Wśród posłów nowogródzkich przeważają liczebnie osadnicy i rozmaite inne niewyraźne typy ze Związku Naprawy Rzeczypospolitej (dawna Straż Kresowa), którym wcale się nie uśmiecha stanowisko mniejszości we wspólnym kole wileńsko-nowogródzkim. Jak wieść niesie, Związek Naprawy na terenie woj. Nowogródzkiego rządzi się jak szara gęś i posiada tam wpływy niepodzielne. Zapoczątkowany przez Jedynekę regionalizm jest mu więc bardzo na rękę, bo daje możność za pośrednictwem miejscowej reprezentacji poselskiej regulować bieg spraw w myśl własnych zamierzeń i interesów jeszcze bardziej skutecznie i radykalnie. Wścibstwo i kontrola posłów wileńskich, wchodzących wprawdzie w skład tego samego Bloku Bezpartyjnego, ale należących do innych ugrupowań sanacyjnych są dlań całkiem niepożądane—w to nikt wątpić nie może. W rezultacie zapadła uchwała utworzenia dwóch kół, którą p. Testis przyjął z ubolewaniem, a p. Cat z nieskrywanym niezadowolaniem.

W praktyce więc zasada regionalizmu, w której p. Testis upatruje doniosły krok w kierunku decentralizacji państwa, prowadzi do rozrostu miejscowych klik i mafij. I nie może być inaczej, skoro w koncepcji kół regionalnych nie widać żadnej głębszej idei, jeno mechaniczne przystosowanie się do panującego szablonu administracyjnego.

Skarga Litwinów wileńskich.

(Memorjał T. Komitetu Litewskiego w Wilnie, złożony Nuncjuszowi papieskiemu w Warszawie).

Ciężka i wciąż się pogarszająca sytuacja Litwinów—katolików w pozostającej pod rządami polskimi Litwie Wschodniej budzi w społeczeństwie litewskim poważne zaniepokojenie i zmusza nas, jako przedstawicielstwo litewskie tego kraju do zwrócenia się do Waszej Ekscelencji z prośbą o zwrócenie uwagi na potrzeby Litwinów katolików i na wyrządzone im krzywdy w diecezjach wileńskiej i łomżyńskiej.

Cały szereg zarządzeń J. E. arcybiskupa wileńskiego Romualda Jałbrzykowskiego w sprawach Litwinów — katolików przekonał Litwinów, że arcybiskup R. Jałbrzykowski nie jest pasterzem bezstronnym, a tylko krzewicielem polskości w kraju naszym z krzywdą litewską. Dla uzasadnienia powyższego, wymieniamy fakty następujące:

1. J. E. arcybiskup wileński obejmując rządy, stworzył aparat administracyjny archidiecezji z samych tylko księży — Polaków, nieprzychylnie dla Litwinów usposobionych; niema ani jednego księdza — Litwina w Kurji Metropolitalnej, Kapitule, ani też w sądzie.

2. W parafjach mieszanych, święciańskiej, hoduciskiej i raduńskiej zmienił arcybiskup dotychczasowy porządek nabożeństw na niekorzyść Litwinów. W pierwszych dwóch parafjach wprowadzono nabożeństwo połowiczne — mimo że w parafjach tych Litwinów jest znaczna większość. W parafji raduńskiej zaś skasowano całkowicie nabożeństwa w języku litewskim, mimo znacznego tam odsetka Litwinów. Prośby Litwinów w tym względzie nie odniosły żadnego skutku.

3. J. E. arcybiskup nie wydając zarządzeń na piśmie, zmusza ustnie proboszczów do wprowadzenia nabożeństw w języku polskim do parafij, w których dotychczas tego się nie praktykowało i w których nie zachodzi wcale potrzeba odprawiania polskich nabożeństw z powodu małej liczby Polaków, nieprzewyższających niekiedy kilku rodzin i rozumiejących jeszcze po litewsku. Takie ustne nakazy otrzymali proboszczowie: w Daugieliszkach, w Twerreczu, w Kołtynianach, Marcinkańcach, Rotnicy, Olkienkach, Duksztach. Dla Litwinów zaś nowych nabożeństw w żadnej parafji nie wprowadzono, mimo że Litwinów, używających w domu języka litewskiego, jest w pewnych parafjach większość, jako to: Ossowie, Butrymańcach, Woronowie, Hermaniszkach i t. d. Nie zwiększono też Litwinom liczby nabożeństw tam, gdzie jak na przykład w Gierwiatach i Naczy, posługujący się językiem litewskim parafianie tego się domagali.

4. Przeniesiono bez poważnego kanonicznego uzasadnienia z parafij litewskich do słowiańskich wytrawnych proboszczów Litwinów, którzy z poświęceniem pracują w zakresie duchownym i oświatowym wśród swych rodaków. Los ten spotkał proboszczów następujących: ks. I. Kuźmińskiego, którego przeniesiono z Naczy do Krypny, ks. A. Michajłę z (Kołtynian do Słobódki) ks. A. Jakowanisa (z Gierwiat do Kluszczan). ks. M. Przemienieckiego (z Łazdun do Zabrzezia).

W związku z powyższymi przesunięciami odnoszą Litwini wrażenie, że do gorszych i nielitewskich parafij przenoszeni są księża Litwini, którzy gorliwie pracowali na swych stanowiskach, zaś nie zostali przeniesieni i w dalszym ciągu cieszą się przychylnością arcybiskupa księży, którzy w mniejszym stopniu nad podniesieniem swych parafij pracują.

5. Do parafij mieszanych wyznacza się na wikaryjusz księży Polaków, słabo umiejących po litewsku, kaleczących jedynie ten język i śmieszających parafjan niewłaściwym używaniem wyrazów litewskich. Tak uczyniono w parafjach święciańskiej, hoduciskiej, gierwiackiej. Jednocześnie z nominacją podobnych wikaryjusz rozpoczynają się zwykle w danej parafji bójki, których jaskrawym przykładem było zajęcie gierwiackie w związku z nominacją księdza Romejki

na wikarego. Tymczasem młodzi księża-Litwini, jak N. Budziłtas, Woronowicz, Žejdis, Gieczys, posiadający dobrze język litewski i polski, przebywając w wyłącznie słowiańskich parafjach.

6. Przy przenoszeniu zasłużonych proboszczów Litwinów z parafij litewskich do nielitewskich arcybiskup usprawiedliwia się, jak się zdarza słyszeć, w pewnych wypadkach wymaganiami władz świeckich. Miało to miejsce przy przenoszeniu ks. Szymaszysa z Dukszt, ks. A. Michajły z Kołtynian, ks. A. Jakowanisa z Gierwiat, ks. J. Karwelisa z Olkienik. Społeczeństwo litewskie nie słyszało natomiast o tem, ażeby arcybiskup w bardziej stanowczy sposób próbował bronić niewinnych księży. Przeciwnie, w sprawie proboszcza Szymaszysa odniosło społeczeństwo litewskie wrażenie, że arcybiskup trzyma stronę władz administracyjnych: przy administracyjnym wysiedlaniu księdza Szymaszysa, jako rzekomego poddanego litewskiego poza granice Wileńszczyzny, arcybiskup rozporządzenie swe w sprawie przyjęcia kościoła duksztańskiego przez diekana w Święcianach, przesłał nie bezpośrednio, a za pośrednictwem policji, która do ostatniej chwili rozporządzenie to trzymała w tajemnicy. Obawiano się widać, ażeby ks. Szymaszys o losie swym nie dowiedział się nieco wcześniej.

Kiedy 5-go października 1927 roku władze polskie aresztowały 14 księży Litwinów bez żadnej z ich strony winy, jedynie w imię t. zw. retorsyj i osadziły ich w więzieniu pomiędzy różnego rodzaju kryminalistami, ani arcybiskup, ani duchowieństwo polskie na to nie zareagowali. Przeciwnie — dla usprawiedliwienia posunięć władz świeckich i dla ich poparcia zorganizowano w Sali Miejskiej wiec, w którego prezydium zasiadał m. inn. ks. J. Olszański, znany przedstawiciel duchowieństwa polskiego. Kiedy rząd sowiecki aresztował w swoim czasie kilku katolickich księży-Polaków, duchowieństwo polskie w Wilnie organizowało publiczne protesty. Kiedy zaś w Wilnie rząd polski osadza w więzieniu wraz z kryminalistami 14 księży-Litwinów, nietylko żaden z przedstawicieli polskich władz kościelnych nie zgłosił w tej sprawie protestu, lecz nawet organ Kurji Metropolitalnej „Wiadomości Archidiecezjalne Wileńskie” wzmianki o tym bolesnym fakcie nie zamieścił, zaś ks. Olszański, szambelan papieski, bierze udział, za cichą zgodą arcybiskupa, w wiecu, usprawiedliwiającym postępowanie władz cywilnych, w charakterze członka prezydium.

J. E. Arcybiskup Jałbrzykowski, wyznaczając księży Litwinów na proboszczów, dopisuje przy nominacji: amovibilis. Postąpił tak z księdzem M. Wojszulisem, ks. Michajłą, ks. Jakowanisem, ks. Bujwisem, ks. Bobinem i innymi. Z chwilą, gdy proboszcz stawał się amovibilis, wobec dającej się wyczuć nieprzychylności arcybiskupa względem roboty litewskiej w parafji, nie pozostawało księdzu Litwinowi nic innego, jak wyrzeczenie się jakiegokolwiek pracy społeczno-oświatowej, a nawet katolicko-narodowej. Przy każdej bowiem żywszej działalności, jak na przykład popierania szkół litewskich, lub zakładania oddziałów stowarzyszenia katolicko-narodowego stawał się ksiądz niepożądanym dla polityki polskiej i przenoszony był do parafji nielitewskiej.

Wskutek takiego ustosunkowania się arcybiskupa wileńskiego do katolików-Litwinów, religijność ich słabnie. Wśród ludności wyczuwa się rozgoryczenie. Ludność daje temu wyraz, twierdząc, że Litwin nie znajdzie u władz cywilnych sprawiedliwości i niema

Jej również u pasterza duchownego; zarówno władze cywilne jak Kościół, dążą jedynie do polonizacji Litwinów. Kiedy się udają do arcybiskupa Polacy, to zostają mile wysłuchani i arcybiskup niezwłocznie nakazuje wprowadzenie nabożeństw w języku polskim nawet w parafjach, gdzie rodzin polskich jest zaledwie kilkanaście. Kiedy zaś przedstawiciele Litwini udają się do arcybiskupa w imieniu tysięcy ludzi, to nazywa ich durniami i drzwi pokazuje. Arcybiskup jest ojcem jedynie dla Polaków.

W diecezji łomżyńskiej również dzieje się Litwinom katolikom krzywda. W Sejnach, gdzie znaczną część parafjan stanowią Litwini, niema ani jednego księdza Litwina. Dotychczas pracował tam ksiądz kanonik Dworanowski, dawny proboszcz sejneński. Ostatnio, jak słyhać, zmusza biskup łomżyński staruszka, który w roku ubiegłym niewinnie skazany został przez władze na więzienie i wysiedlenie, do zupełnego wyjazdu z miasteczka. W ten sposób wyrządza się krzywdę księdzu, — staruszkowi, zaś katolików Litwinów pozostawia się bez księdza, któremu by, jako rodakowi, mogli całkowicie zaufać. Trudno było Litwinom zrozumieć postępowanie władz cywilnych w stosunku do księdza Dworanowskiego, lecz jeszcze trudniej pojąć rozporządzenie biskupa.

Krzywdą się również Litwinom katolikom wydaje wysiedlenie księdza Wenciusa z Puńska, gdzie w ciągu kilku lat pracował gorliwie i spokojnie. W roku ubiegłym władze polskie wysiedliły bezprawnie księdza Wenciusa do Litwy niepodległej. Po powrocie w roku bieżącym nie tylko niepozwolono mu pracować na dawnym stanowisku, lecz nawet zakazano mu pozostać wśród Litwinów.

W związku z powyższem prosimy Waszą Ekscelencję o zwrócenie na to wszystko uwagi i zakomunikowanie tego Jego Świątobliwości Papieżowi. Wierzmy, iż zrozumie On wyrządzane nam krzywdy, nie pozwoli na dalsze upośledzanie katolików Litwinów i wyznaczy dla różnojęzycznej archidiecezji wileńskiej innego pasterza, który potrafi wszystkich zrozumieć i dla wszystkich w jednakowym stopniu być ojcem.

W imieniu Tymczasowego Komitetu Litewskiego w Wilnie: prezes *K. Staszys*, wiceprezes *P. Karazija*, skarbnik *W. Budrewicz*, sekretarz *R. Mackiewicz*.

Wilno, dnia 25 kwietnia 1928 r.

*

Memorjał powyższy, ogłoszony w pismach litewskich, ukazał się w przekładzie polskim w „Kurjerze Wileńskim z adnotacją redakcyjną, wyrażającą nadzieję, że Kurja Metropolitalna ogłosi w tej sprawie komunikat i sprostuje zarzuty T. Komitetu Litewskiego. „Słowo” podało tylko ogólnikową wiadomość o memorjale, stwierdzając, że Nuncjusz delegata Komitetu osobiście nie przyjął i ten zmuszony był doręczyć memorjał jego sekretarzowi. Nie znamy dokładnie zwyczajów dyplomatycznych, ale wydaje się nam, że Nuncjusz inaczej postąpić nie mógł, gdyż jako poseł akredytowany przy rządzie polskim jest on pośrednikiem pomiędzy Watykanem a tym rządem właśnie, nie zaś pomiędzy Stolicą Apostolską a ludnością w państwie polskim. Z tego względu chyba właściwszą drogą było przesłanie memorjału wprost do Rzymu.

Ale jest to szczegół podrzędny. Ważniejszą rzeczą jest sam fakt publicznej manifestacji ze strony

Litwinów wileńskich przeciwko zwierzchnikowi archidiecezji. Wiemy, że w społeczeństwie litewkiem zdecydowano się na ten krok dopiero wtedy, gdy za panowało przekonanie, że polityka kościelna u nas weszła zdecydowanie na tory skrajnego nacjonalizmu i gdy żywione na razie nadzieje, że liczne posunięcia Kurji, wymierzone przeciwko interesom narodowym litewskim nie są wyrazem planowej akcji — zawiodły. Smutne to, ale prawdziwe.

Zaznaczyć należy, że „Dziennik Wil.” ani słowem dotąd nie wspomniał o memorjale. Należy więc oczekiwać, że na łamach tego pisma właśnie ukaże się inspirowane przez władze kościelne wyjaśnienie.

Dwie stolice — dwa protesty.

(Budująca paralela).

Możnaby ułożyć całą antologję z tych epitetów i dosadnych wyrażen, jakimi od szeregu lat częściej prasa polska wszystkie bez wyjątku rządy litewskie za ich „polityczną niepoczytalność”, „upór nieprzejednany”, „patologiczną krótkowzroczność”, za ich dziwaczne stanowisko, nie liczące się z oczywistym i definitywnym faktem przynależności Wileńszczyzny do Polski, i t. p.

W zatargu politycznym, jak wiadomo fakt dokonany fest argumentem nader poważnym, to też nic dziwnego, że marszałek Piłsudski w rozmowie z przedstawicielem Pa'a-d. 3 grudnia u. r. scharakteryzował w bardzo ostrych słowach stosunek rządu litewskiego do sprawy wileńskiej. „Stan wojny — oświadczył m.in. marszałek — utrzymywany w stosunku do nas przez Litwę jest jedynym istniejącym w chwili obecnej na świecie; jest więc anomalją i stanem chorobliwym tego zakątka kuli ziemskiej”.

Jednakże rzuca się w oczy nie licujące bynajmniej z „*beatudo possidentis*” niezwykle podrażnienie, panujące w obozie zwycięzców, którego stałemi objawami są owe wymysły i niedyplomatyczne zwroty pod adresem rządu i państwa litewskiego. Źródła jego należy szukać w poczuciu, że pretensje strony przeciwnej, chociaż nie są groźne w chwili obecnej, mogą w przyszłości zaważyć w sposób decydujący na szali wypadków, gdy dzisiejsza *ultima ratio* z tych lub innych powodów utraci swą siłę przekonywującą.

Czyż to raz w dziejach ludności zdarzało się, że w łonie wartości znikomych i nieuchwytnych (*imponderabilia*), moralnych, prawnych, kulturalnych i społecznych, pozbawionych w oczach trzeźwego polityka wszelkiego znaczenia realnego, rodziły się, rosły i dojrzewały konkretne polityczne wartości przyszłości, często niepostrzeżenie całkiem dla *beati possidentis*?

I dlatego wszelki protest, jeżeli ma za sobą chociażby nawet pozory słuszności, nie mówiąc już o całkowicie uzasadnionych i opartych na prawie moralnym lub formalnym, budzi zawsze niepokój i usilne dążenie do jego likwidacji nawet wtedy, gdy przewaga siły po stronie zwycięskiej jest bezsporna.

Nie zaszkodzi też przypomnieć, że ten stan wojny dyplomatycznej, jaki od dziesięciu blisko lat się wytworzył między Litwą a Polską nie jest bynaj-

mniej jedyny istniejący w chwili obecnej na świecie, jak utrzymuje marszałek Piłsudski. Pod wielu względami podobny stan rzeczy i od znacznie dłuższego czasu istnieje we Włoszech pomiędzy Watykanem a rządem włoskim.

D. 20 września 1870 r. gen. Cadorna, podobnie jak gen. Żeligowski Wilno, *zajął manu militari* Rzym. Rząd włoski proklamował zniesienie władzy świeckiej papieża i wcielenie państwa kościelnego wespół z Rzymem do królestwa włoskiego.

Ustąpiwszy wobec siły fizycznej papież jednakże nie uznał gwałtu i nie podpisał t. zw. umowy gwarancyjnej, która stolicy Apostolskiej zapewniała możliwość korzystania częściowo z przysługujących jej dawnej praw i przywilejów.

I oto mija już 58 lat, jak Stolica Apostolska trwa na tem nieprzejednanem stanowisku, nie uznaje faktu dokonanego i stale zgłasza swój protest wbrew wszelkim realnym widokom, aby mógł odnieść jakiś skutek.

Oto przeszło pół wieku już, jak szereg papieży utrzymuje swe fikcyjne państwo w stanie formalnej wojny z realnem i potężnem królestwem Italji, nie tylko nie rezygnując ze swych niedorzecznych z pozoru pretensyj, ale wierząc nawet głęboko w ostateczne zwycięstwo.

Przeszło 50 lat papieże nie godzą się na utrzymywanie normalnych stosunków dyplomatycznych z królewskim rządem włoskim, deklarując niezmiennie, że mogą jej posła przyjąć jedynie w dawnej swej stolicy.

Ostatnia wizyta ministra Zaleskiego w Rzymie uwidoczniła stan chorobliwy również drugiego zakątka kuli ziemskiej. Jak się okazuje, aby ze święckiego Rzymu minister mógł trafić do Rzymu kościelnego, był on zmuszony na 24 godziny wyjechać do Neapolu i stamtąd dopiero udać się z wizytą do Watykanu.

Czy nie przypomina ta komunikacja Kwirynału z Watykanem via Neapol owych stosunków pocztowo-telegraficznych między Kownem a Wilnem via Warszawa lub Berlin, jak to projektował w jednym ze swoich wywiadów prof. Voldemaras?

Wątpić można, aby rządy litewskie wzorowały swą taktykę dotychczasową w stosunku do Polski na przykładzie Watykanu, ale analogja jest rzeczywiście uderzająca i nie tylko pod względem formalnym: z jednej strony faktu dokonanego, uznanego przez czynniki międzynarodowe, a z drugiej strony protestu, mającego wyłącznie moralne znaczenie, ale również i pod względem merytorycznym: argumentacji i uzasadniania swego stanowiska i swych praw.

Sam.

Nieświadomość czy perfidja?

Sprawy unijne już nie raz były poruszane na łamach „Przegl. Wil.”. Obecnie na niwie Unji wyrastają nowe kwiatki, wymagające światła opinii publicznej.

Przedewszystkiem zaszły zmiany na terenie działalności unjonistycznej w archidiecezji wileńskiej. Arcymisjonarz diecezjalny i „gienieralnyj misjonier na wsium Polsce” oraz świeży mitrat—o. H., po długich

targach, opuścił wreszcie Wilno i przeniósł się na misję do wsi Fasty pow. białostockiego. Ze się zabrał wreszcie do pracy misyjnej, to i Chwała Bogu, tylko niepokoi nas, że w pobliżu jego zbierają się inni jego „konfratry”, dla których usuwa się kapłanów bezwzględnie oddanych sprawie unijnej, zamieniając ich awanturnikami lub ludźmi o ciemnej przeszłości.

Wślad za o. H. objął placówkę w Mikołajewie „generał-samonominat” i porucznik czy też rotmistrz rosyjskiej kawalerji o. L., który po wyłudzeniu od okolicznego ziemianstwa w Postawach datków na rzekome potrzeby unijne, za protekcją o. H., otrzymał Mikołajów. Działalność o. L. w Mikołajewie przedewszystkiem została zaakcentowaną w ten sposób, że zerwał kontrakt na ziemię cerkiewną, zawarty przez poprzedniego proboszcza o. D., wyrzucając dzierżawcę, a ziemię wydzierżawiając innemu na lat 5, z opłatą dzierżawy zgóry za cały czas. (Przypuszczamy że to się dzieje za wiedzą kurji metropolitalnej w Wilnie, która jest najzupełniej pewna, że o. L. te lata tam spędzi; ale co będzie, gdy tam nastanie inny kapłan i wyrzuci obecnego dzierżawcę, osadzając innego! Jaką opinię zyskają kapłani unicy w oczach ludności prawosławnej, pozostawiamy ocenie czytelników). Poza to co do działalności misyjnej o. L., to nic o niej nie słyhać i nic do zanotowania nie mamy, chyba tylko że w dalszym ciągu kwestuje na cele unijne i w „pjanom widie” wyprawia awantury. Działalność, jak widzimy doniosła.

Do tej grupy należy o. M., osobnik o niemieckim nazwisku, a ciemnej przeszłości, wydalony przez władze duchowne prawosławne z cerkwi w Gdańsku z powodu wątpliwości, czy posiada wogóle święceni kapłańskie...

Dalej idzie o. R, „razstriga”, człowiek który sam dobrowolnie, czy też przez sąd duchowny prawosławny, został pozbawiony stanu duchownego.

Jak z tego widać, dobór działaczy unjonistycznych dość „sympatyczny”, zwłaszcza jeżeli dodamy, że kto interesuje się arcymisjonarzem o. H., znajdzie o nim wiadomości w dzienniku „Wieczerniaja Gazeta” za rok 1910, w jesieni, w kilku artykułach pod tytułem „Rastrata w Wilenskom eparchjalnom składzie”. Roczni tego pisma posiada biblioteka Uniwersytetu Wileńskiego.

Mniej nas interesuje, skąd taki garnitur działaczy unjonistycznych zdobyła Wileńska Kurja Metropolitalna, bo tu może kryje się tylko nieznamość zdegenerowanego rządu Synodu i osławionych konsystorzów prawosławja, lecz chodzi o to, po co o. H., przy pomocy tejże Kurji, gromadzi całe to towarzystwo około siebie! - Bo że nie dla pracy misyjnej, to pewna. Co też za cel mają te rozsyłane przez o. H. memorjały które jeden z unickich władcyków nazwał buntem przeciwko prawowitemu pasterzowi! Dlaczego został z Mikołajewa usunięty na życzenie o. H. zakonnik, który cichą pracą dla Unji dużo zrobił, będąc dla niej bardzo pożytecznym, jako znawca prawosławja i Ojców świętych Wschodu, ale który zgoła nie nadaje się do tej całej paczki „pjonierów” ze względu na swój poziom moralny! Co to wszystko ma znaczyć? Czy to jest nieświadomość, czy też życzenie, które kiedyś wyraził jeden z młodych dygnitarzy kurjalnych: „Czekamy aż oni wszyscy wrócą do prawosławja, a wtenczas Rzym da nam spokój święty z tą Unją”.

Obserwator z ubocza otrzymuje wrażenie, że właśnie chodzi tu o ten „spokój święty”. Bo jeżeli

z powyższem zestawimy to, że do Kurji zgłaszają się kandydaci obrządku łacińskiego—teologowie, posiadający referencje biskupów, i im się odmawia z powodu braku potrzeby w kapłanach obrządku wschodniego (a te 45 parafij nawróconych przez o. H.?), jeżeli się odmawia kapłanom unickim z Galicji, przyjęcia do archidiecezji z powodu tego, że władze świeckie rzekomo stoją na przeszkodzie ich przeniesieniu się (co jest dalekiem od prawdy), jeżeli jezuitom z Albertyna pracującym z dużym powodzeniem w obrządku wschodnim i posiadającym około 15 tys. wiernych byłych prawosławnych, odbiera się kościół, który jest rzekomo potrzebny, dla dosłownie kilkudziesięciu wiernych obrządku łacińskiego, jeżeli zwróci się uwagę na to, że dotychczas literalnie nic nie zrobiono, by powiększyć ilość kapłanów, choćby przez zaproszenie bazylianów lub studytów, oprócz jakiegoś fantastycznego projektu święcenia byłych prawosławnych, jako celebśów w obrządku łacińskim, z tem, że potem przejdą na obrządek wschodni (weźmy historję niejakiego Pawłowicza, psalterzysty, protegowanego przez o. H., człowieka żonatego, o mało że nie wyświęconego jako celebśa, przyczem P. jednocześnie miał już zapewnione stanowisko u archiereja prawosławnego)— jeżeli to wszystko zestawimy, to musimy przyznać że źle się dzieje z Unją w naszym kraju, a w archidiecezji wileńskiej w szczególności.

Życzeniem unitów u nas jest otrzymanie jak najprędzej władzy własnego obrządku, gdyż tylko taki potrafi pociągnąć lepsze jednostki śród kleru prawosławnego do Unji, potrafi skończyć z eksperymentami przynoszącemi raczej korzyść baptystom, metodystom i innym sektom, niżli idei zjednoczenia Kościołów. Inaczej spełnią się słowa jednego z dygnitarzy Cerkwi prawosławnej: „Unją nie jest nam straszną, bo ją sami łacinnicy pognebia”.

Dymitry Marenycz.

Literatura i polityka.

P. A Zahorska (Savitri), zadraśnięta moją krytyką ostatniego jej utworu p. t. „Trucizny” zamieściła w „Warszawiance” obszerną replikę, stanowiącą właściwie feljetonowo ujęty wykład zapatrywań autorki na kwestję białoruską. Dyskusja więc odbiegła od właściwego tematu, bo nawet w tym wypadku, gdybym musiał przyznać słuszność poglądom politycznym p. Savitri, nie zmieniłoby to w niczem mego sądu o wartości jej powieści pod względem literackim, która, niezależnie od jaskrawej tendencji, jest niżej wszelkiej krytyki.

Ale p. Savitri wyraża chęć porozmawiania o kwestji białoruskiej, a że jest to zagadnienie doniosłe i aktualne, więc chętnie służę, żałując tylko, że nie przemawiamy do wspólnego audytorjum, które być może odniosłoby jakąś korzyść z tej wymiany myśli.

Pomijam szczegóły natury osobistej, które p. Savitri przytacza na wstępie swęgo artykułu, gdyż dociekania na temat jej pochodzenia mogłyby zaprowadzić o wiele dalej, niż do Mohylewskiej... Gotów również jestem przyznać, że mi pamięć nie dopisuje, bo istotnie nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek pośredniczył w zawieraniu znajomości pomiędzy p. Savitri a ś. p. Janem Łuckiewiczem.

Natomiast muszę wyjaśnić jedno nieporozumienie: w pewnym miejscu swej repliki p. Savitri pisze: „Miałam kiedy patrzeć, miałam jak patrzeć. A że nie... ukrajowiłam się, to już trudno”... Czyżby p. Savitri naprawdę przypuszczała, że mam o to do niej pretensję? Zapewniam uroczyście, że nigdy mi na tem nie zależało i że uważam za całkiem naturalne, iż ideologia krajowa była zawsze i jest dla p. Savitri najzupełniej obcą i niezrozumiałą. Ale krajowość, tradycje W. Ks. Litewskiego swoją drogą, a odrodzenie narodu białoruskiego swoją. Nie potrzeba być krajowcem, aby oceniać trafnie i bezstronnie ruch białoruski. Wystarczy tylko odrobiny dobrej woli i głębszej znajomości rzeczy.

Niestety ani jednego, ani drugiego p. Savitri nie posiada. O tem świadczy chociażby następujące jej twierdzenie: „Białoruś niema własnej inteligencji, nie jest nią garść renegatów z obu narodów. Co innego Janko Kupała lub Własow, co innego Weryho, Mickiewicz, Iwanowski i ludzie o pochodzeniu nawet niekresowem. Urodzony z renegacji i zdrady (!) toczy się ten ruch temże kołem. Na czele ludzie, którzy plują na własną kołyskę, na tradycje swej rodziny. A przypomnijmy, że przed wojną z powodu małego wyrobienia języka białoruskiego ci Polacy—renegaci, wlewający się do białoruszczyzny, musieli trwać w moskiewszczyźnie!”

Co słowo — to fałsz, chcę wierzyć, że nieświadomy. Przedewszystkiem p. Savitri przeczy sama sobie. Z jednej strony utrzymuje, że inteligencja białoruska składa się z samych renegatów, a z drugiej powiada: co innego Janko Kupała i Własow (na innym miejscu wymienia jeszcze Aloizę z Paszkiewiczów Kejrysowa, pisującą pod pseudonimem „Ciotki” — nie „Starej Ciotki”, jak czytamy.) Więc nie sami renegaci pracują dla odrodzenia narodu białoruskiego. A czemuż tylko te trzy nazwiska figurują w artykule p. Savitri? A Jakub Kołas, a Aleś Harun, a Jazep Losik, a W. Łastowski, a Makar Kraucow, a E. Leuczyk, a M. Bohdanowicz, a Ciszka Hartny, a B. Taraszkiewicz, a M. Harecki, a ks. A. Stankiewicz, a J. Stankiewicz, a K. Swajak, a J. Bylina i wielu, wielu innych, pochodzących niewątpliwie z ludu białoruskiego? Zapewne po raz pierwszy p. Savitri spotyka się z większością tych nazwisk i pseudonimów, niech więc je dobrze zapamięta, bo przecież skoro zabiera głos w kwestji kultury białoruskiej, to elementarna przyzwoitość nakazuje zapoznać się chociaż powierzchownie z piśmiennictwem białoruskiem i jego przedstawicielami.

Wszystkim tym wymienionym i niewymienionym działaczom i pisarzom rdzennie białoruskim, p. Savitri, przeciwstawia nazwiska „renegatów”: Weryhy, Mickiewicza i Iwanowskiego. Jaki znów Weryho? Czyżby Weryho—Darewski z połowy zeszłego wieku, pisujący wierszyki białoruskie, razem z Dunin-Marcinkiewiczem, Korotyńskim i Syrokomlą? Co ma wspólnego pocziwy p. Artemjusz ze współczesnym ruchem białoruskim i jego inteligencją? A dalej jakiś zagadkowy Mickiewicz. Czybaż nie Adam? Więc może Konstanty, pisujący pod pseudonimem Jakuba Kołasa lub Tarasa Huszczy, syn leśnika z pow. Śluckiego? Dlaczego tego niewątpliwego syna wioski białoruskiej p. Savitri zalicza do kategorii renegatów — tego sama zapewne nie wie. Pozostaje jeden Iwanowski, zapewne Waclaw, ziemianin z pow. Lidzkiego, sympatyk przez czas pewien ruchu białoruskiego, który jednakże dawno już nie bierze w nim udziału, jest profesorem politechniki warszawskiej i uważany jest za od-

stępując właśnie przez Białorusinów. W każdym razie jest to bodaj jedyna postać w ruchu białoruskim, pochodząca z rodziny ziemiańskiej o kulturze polskiej. Gdzież zaś inni „Polacy renegaci”? Chyba ów Wasilewicz z powieści „Trucizny”, o którym p. Savitri pisze tak: „P. Abramowiczowi wydaje się, że historia Wasilewicza w „Truciznach” jest zmyślona? Nie zna Pan w Wilnie rodziny renegata — Polaka, który każe synowi wbrew jego woli uczyć się w gimnazjum białoruskim z podręczników rosyjskich? Nie zna Pan żon — męczenic, widzących, jak mężowie ostrzą nóż na Ojczyznę? Pan zna Wasilewiczową i zna Wasilewiczów. Tylko nie każdy z nich cofnął się z drogi”.

Nie, Sz. Pani, zapewniam solennie, że nie znam ani takiego Wasilewicza, ani takich Wasilewiczowych. Nie tylko nie znam, ale nawet nie słyszałem o podobnych dramatach. A myślę, że i p. Savitri ich nie zna i że w całej tej historii tyleż tkwi prawdy, co i w posądzeniu, że jestem Białorusinem, ponieważ w tym samym numerze, w którym była zamieszczona recenzja o „Truciznach”, znajduje się wzmianka, wyszydająca troskę prasy polskiej o rozwój materialny państwa litewskiego... Takimi oto drogami chadza logika i na takich oto podstawach opiera się sąd o ludziach i rzeczach p. Savitri.

Przypuśćmy jednakże, że istotnie na czele ruchu białoruskiego stoją „renegaci Polacy”. Czy przez to ruch ten traci na sile i znaczeniu? Chyba przeciwnie świadczyłoby to o jego mocy żywiołowej, skoby potrafił pociągnąć nawet jednostki, należące do innej narodowości. Czyż przyjdzie do głowy jakiemu rozsądnemu Niemcowi traktować z lekceważeniem kulturę polską na tej podstawie, że do jej rozwoju przyczynili się Bandtke, Linde, Mizler de Koloff, Janocki, Pol? A jeszcze warto się zastanowić nad pytaniem, czy taki Wacław Iwanowski, biorąc swego czasu udział w ruchu białoruskim, był istotnie „renegatem i zdrajcą” czy przeciwnie poczuł w sobie głos krwi i powrócił jedynie na drogę (na krótko zresztą), z której zeszedli wynarodowieni jego przodkowie? Gdyby miejscowa szlachta polska stanęła pod sztandarem narodowym białoruskim, byłibyśmy świadkami tego samego naturalnego zjawiska, jakiego widownią były Czechy, kiedy zniemczona od wieków arystokracja tamtejsza zaczęła popierać ruch narodowy czeski i przyznawać się do narodowości czeskiej. Ale u nas bynajmniej się na to nie zanosi i cała filipika p. Savitri jest najzupełniej bezprzedmiotowa.

Przeciwnie, ruch białoruski ma charakter wybitnie ludowy i dlatego jest jednostronny i posiada zabarwienie skrajnie radykalne. Jeżeli ulega wpływom Mińska, to w znacznej części dlatego, że tylko stamtąd doznaje poparcia, ze strony polskiej zaś spotyka się jedynie albo z niechęcią i prześladowaniem, albo z pogardą i lekceważeniem, a w najlepszym razie z obojętnością. Możeby przybrał inny kierunek, gdyby istotnie znaleźli się w nim wyimaginowani przez p. Savitri „Polacy—renegaci”, tylko oczywiście nie tego typu, co jej Wasilewicz, który na początku powieści pije wódkę, klnie po białorusku, potem gotów jest przyjąć prawosławie, a w końcu nagle przypomina sobie, że jest z senatorskiego rodu i nie może przezwyciężyć swego wstępu do chamów...

Czego zaś właściwie pragnie sama p. Savitri — nie sposób wyrozumieć. Zarówno w swej powieści, jak w swym artykule:

L. A.

Wydania dzieł Mickiewicza.

Wydania dzieł Adama Mickiewicza w ciągu stulecia. O wydaniach oryginalnych ogłoszonych za życia poety 1822 — 1855. Gawęda bibliofiliska Przez Aleksandra Semkowicza. Z podobiznam. Lwów, Ks. Żurka Atlas, 1926; str. 8nl i 230 i 2nl. i tabl. 4.

Wydana w r. 1924 przez Ludwika Stolarzewicza „Bibliografia mickiewiczowska” została ostro skrytykowana przez Stanisława Pigionia w „Przeglądzie Warszawskim” i przez Aleksandra Semkowicza w „Pamiętniku Literackim”. Semkowicz, znany bibliofil lwowski, posiadający bezmała wyczerpującą kolekcję druków mickiewiczowskich, nie ograniczył się do krytyki, lecz sam przystąpił do źródłowego opracowania przedmiotu. Ogłoszony t. I jego pracy omawia wydania za życia poety, jak wiadomo — najważniejsze, bo — obok rękopisów — decydują o ustaleniu tekstu utworów. Zbiorowego wydania krytycznego dzieł Mickiewicza dotychczas nie posiadamy; najpełniejsze z dotychczasowych 12-tomowe wydanie lwowskie Piniego i Reitera uznaniem się nie cieszy; stosunkowo najlepsze 7-tomowe Kallenbacha nie jest zupełne. Z pięknego wydania Tow. Literackiego im. Mickiewicza we Lwowie, opracowanego przez Tretiaka, Bruchnalskiego, Nehringa, Chmielowskiego, Kallenbacha i Pilata w latach 1896 — 1911 ukazało się 6 tomów, z tych dwa ostatnie, zawierające „Pana Tadeusza”, nieukończone, gdyż podają tylko tekst i pierwsze strony aparatu krytycznego z rękopisu ś. p. Pilata. Na tem druk przerwano, i wydanie pozostań już w tym stanie, nowsze bowiem badania nad tekstami poety, zwłaszcza Bruchnalskiego, Kallenbacha i Pigionia, przyniosły poważne odkrycia i zmiany. Zapowiedziane wydanie sejmowe dzieł Mickiewicza, mimo że niebawem nadejdzie dziesiąta rocznica uchwały, nie wydaje się być bliskie realizacji; brak ten choć częściowo, przynajmniej co do poszczególnych utworów, zastępują nowe opracowania krytyczne w „Bibliotece Narodowej”, gdzie zwłaszcza Pigoń wydaniem „Pana Tadeusza” zasłużył się znakomicie. Ale i gdzieindziej, w obecnej dobie odrodzenia Mickiewicza, wśród prac poświęconych poecie niemałe miejsce zajmują badania nad ustaleniem tekstów; nieobojętnym czynnikiem w inicjatywie tego właśnie kierunku studjów były zapewne widoki na zapowiedziane wydanie pomnikowe. Do rzędu tych prac należy też książka Semkowicza.

Na jej zdobycze realne około ustalenia bibliografii wydań mickiewiczowskich, w sprawie rozproszenia raz na zawsze krążących o niektórych drukach legend oraz dokładnego odróżnienia oryginalnych wydań autorskich od przedruków bezprawnych, — zwrócono już uwagę, i szczegółów tych niema potrzeby powtarzać. W wydanej części swej pracy raz jeden wykracza Semkowicz poza termin określony w tytule: omawiając mianowicie łacińską „Ode do Napoleona III”, wlicza jej przekłady polskie, drukowane już po śmierci poety, co można jeszcze uzupełnić tłumaczeniem Kasprowicza, zamieszczonym w t. I „Dzieł wszystkich” Piniego i Reitera.

Forma „gawędy bibliofilskiej” pozwoliła autorowi na liczne dygresje, przez co wykład suchego napozór przedmiotu nabral żywych barw i jest tem więcej zajmujący, iż z każdego opisu odczuwamy serdeczną i gorącą zażyłość autora z książkami, o których opowiada ze szczerą radością i głęboką wiedzą. Dzięki, temu, zamiast suchego traktatu biblio-

graficznego, dał nam Semkowicz książkę łatwą w czytaniu i bardzo ciekawą. Podane w niej fakty są zdobyczami naukowymi, z którymi liczyć się i które cenić musi każdy badacz poety, ale przez wdzięczną i piękną formą swoją książka może i powinna dotrzeć do kół znacznie szerszych. Niejednego z czytelników zadziwi zapewne, gdy będzie miał sposobność przekonać się bezpośrednio, że i bibliografia może być naprawdę zajmująca. Wewnętrzne zalety książki Semkowicza znakomicie podnosi i uzupełnia jej wygląd estetyczny. Zdobia ją podobizny kart tytułowych wszystkich wydań, odbitki dołączanych do nich portretów i ilustracji, Układ graficzny książki jest bez zarzutu, a bezpretensjonalnie pomyślana okładka naprawdę świetna. Jest to bodaj najładniejsza pod względem wydawniczym książka, jaka w latach ostatnich ukazała się na półkach księgarskich.

Kazimierz Czachowski.

(„Wiad. Literackie“).

KRONIKA.

Obcokrajowcy. Z okazji jubileuszu 25-lecia piastowania godności biskupiej przez prawosławnego arcybiskupa wileńskiego Teodozjusza wydana została w języku rosyjskim jednodniówka p. t. „Świetłyj Pul”, zawierająca, między innymi, życiorys jubilata, z którego się dowiadujemy, że arcybiskup pochodzi z gub. Czernihowskiej i całe swe życie spędził w Rosji. Ostatnio zajmował stanowisko arcybiskupa odeskiego i wskutek prześladowań bolszewików emigrował w r. 1923 do Polski, gdzie otrzymał niezwłocznie nominację na arcybiskupa wileńskiego. Tak więc zarówno na czele miejscowej hierarchii katolickiej, jak prawosławnej znajdują się ludzie przygodni, niczem z naszym krajem nie związani i nie odczuwający jego odrębnych potrzeb i interesów.

Czem skorupka za miodu nasiąknie, tem na starość trąci. Bardzo trafne uwagi wypowiada na łamach „Kurjera Wil.” p. S. W. w artykule: „O zdrową duszę”.

„Trzeba sobie zdać sprawę, że endecja powalona politycznie, nie uległa. Ta kilkoletnia działalność, to stałe zastrzykiwanie jadu szowinizmu narodowego, nienawiści klasowej i narodowej do głębi przetrwały organizm narodu polskiego. I gdy politycznie rządy dzisiejsze usiłują przeprowadzić zasadę tolerancji jak religijnej jak i narodowej, w wielu wypadkach te poczynania załamują się o zgangrenowaną i chorą psychikę współczesnego społeczeństwa polskiego.

Prawie cała inteligencja polska została wychowana na hasłach i ideałach narodowej demokracji. Stąd ludzie nieraz bardzo poczciwi, bardzo uczynni i sprawiedliwi, gdy posłyszają magiczny wyraz, „mniejszość narodowa” stają się najbardziej zajadli i bezwzględni. Młodzież akademicka we wszystkich prawie wyższych uczelniach w Polsce jest opanowana przez „Wszehpolaków”. Stąd też i niski stopień moralnego wychowania. Upadek etyczny młodzieży tak uniwersyteckiej jak i szkół średnich—to bezpośrednie owoce działalności endecji.

Pod tym względem nihilizm endecki idzie w parze z bolszewickim ..

Jest to niewątpliwa prawda. To też punkt ciężkości zagadnienia polityki wewnętrznej polskiej leży nie w tej lub innej formie rządów, lecz w odrodzeniu społeczeństwa. A w tym kierunku nic prawie się nie robi.

Powrotna fala. Niedawno p. Kodź, jeden z redaktorów „Dziennika Wil.” po swym powrocie z Królewca i Kowna wygłosił w Wilnie wobec nielicznego audytorjum odczyt publiczny na temat swych wrażeń i spostrzeżeń podczas podróży. Sprawozdanie to cechowały wyjątkowa bezstronność, a nawet pewna życzliwość w stosunku do państwowotwórczych wysiłków narodu litewskiego. Ubolewał jedynie prelegent nad obserwowanymi przezeń objawami wynaradawiania się Polaków kowieńskich i wzmagającą się ich litwinizacją. Z tego powodu prasa litewska nie bez słuszności czyni uwagę, że jest to tylko nieznaczna rekompensata za o wiele liczniejsze straty, które poniósł naród litewski na rzecz polskości. Sam prelegent, który się zarekomendował jako nacjonalista polski, jest najlepszym przykładem zupełnego wynaradowienia jego

przodków, bo pochodzenie nazwiska Kodź od litewskiego Kuodis nie ulega żadnej wątpliwości.

Proces Biał. Hramady dobiega już końca. W chwili, gdy to piszemy skończył swą długą mowę podprokurator Rauze. We wszystkich sprawozdaniach prasowych znajdujemy taki frazes w jego przemówieniu „Łączność z narodem, którego kultura i świetlana przeszłość podbiła serce młodego barbarzyńcy Taraszkiewicza została zerwana”... Zaiste oryginalne określenie, przypominające słosunek Greków do Persów lub Rzymian do Gotów! Chwilami w tem Wilnie można zapomnieć, że żyjemy w XX wieku. — W innym znów miejscu podprok. Rauze nazwał A. Luckiewicza „szlachcicem polskim”. Skądże znowu? Luckiewiczowie są niewątpliwą szlachtą litewską, na co wskazuje ich tatarskie pochodzenie, ponieważ jedynie na terenie W. Ks. Litewskiego Tatarzy należeli do stanu szlacheckiego. Prawnik winien być zawsze ścisłym.

Koniec idylli. „Holas Pracy” podaje, że istniejący dotąd dla białoruski przy wileńskiej radjostacji którego kierownikiem był mianowany magister praw A. Zieniuk ostatnio został zlikwidowany. Zastąpił go „chwilka białoruska”, podczas której będą podawane wiadomości z życia białoruskiego, ale w języku polskim... „Holas Pracy” podkpiwa przy tej sposobności ze złudzeń tych niepoprawnych optymistów ze społeczeństwa białoruskiego, którzy wzięli na serio przedwyborcze obietniczki i cieszyli się, jak dzieci z dopuszczenia języka białoruskiego do produkcji radjowych. Byłoby jednak rzeczą ciekawą dowiedzieć się, co było powodem cofnięcia tej drobnej koncesji językowi białoruskiemu. Czyżby niezadowolone miejscowych sfer endeckich, o którym wspomina korespondentka wileńska w ostatnim numerze „Anteny Polskiej”?

Święto narodowe czy państwowe? „Dziennik Wil.” uskarża się, że obchód d. 3 maja przybiera coraz bardziej sztywny, urzędowy charakter i staje się bardziej podobny do galówki, niż do święta narodowego. Inaczej być nie może, bo, gdyby rocznica Konstytucji 3 maja była świętem narodowym polskim, to nie byłoby żadnej podstawy zmuszać do jego obchodu Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, Żydów i Niemców. W rzeczywistości zaś dzień 3 maja uznany został za święto państwowe, które z natury rzeczy w naszych warunkach musi mieć charakter oficjalny i nie może wywoływać er.tuzjazu wśród ludności różnej lemiennej.

Oferta. Dr. A. Wirszubski z okazji obchodu ku czci Berka Joselewicza zaznacza w „Słowie”, że założony ad hoc komitet, złożony z przedstawicieli społeczeństwa polskiego i żydowskiego powinien „uosabiać tętniącą na szczytach obywatelstwa (?) Wileńszczyzny ideę zblżenia polsko — żydowskiego”.

Zdaniem dr. Wirszubskiego zasada równouprawnienia powinna być zastosowana przedewszystkiem względem Żydów „na kresach”, gdyż ci nie mają żadnych aspiracji terytorjalnych, które stanowią pierwiastek fermentacyjny, zagrażający niebezpieczeństwem całemu ustrojowi Polski. „Żydy zaś, pozbawieni spcjenia terytorjalnego, w odróżnieniu od Ukraińców, Białorusinów i Litwinów, a w dodatku z powodów ekonomicznych nieżyczliwie usposobieni do koncepcji sąsiada wschodniego (?), mogliby być przy rozsądnej polityce wykorzystani jako pewni i lojalni obywatele” ..

Może ta wcale ponętna oferta wzruszy wreszcie p. Obsta?

Zgon „Utra”. Wskutek trudności finansowych przestało wychodzić pismo codzienne w języku rosyjskim p. t. „Utra”, które powstało przed wyborami zamiast zlikwidowanego po kilku latach istnienia „Dziennika „Wileńskie Utra”. Było do przewidzenia, że „Utra” o wyraznym zabarwieniu nacjonalistycznym i wskutek tego nie mogąc liczyć na czytelników ze sfer żydowskich długo nie potrwą. Bez stałego i sporego subsydjum dziennik czysto rosyjski na naszym gruncie istnieć nie może. Tak było nawet w czasach przedwojennych. Tembardziejże teraz.

Nowa gazeta rosyjska p. t. „Wil. Dień”, która się ukazała przed paru dniami będzie więc musiała zmienić swój kierunek.

Sprostowanie.

W ostatnim numerze naszego pisma wkrał się błąd do notatki kronikarskiej p. t. „Megalomanja”. Zamiast *pluralis majestaticum* powinno być oczywiście *pluralis majestaticus*.